

Dziś w numerze: Pierwsza defilada • Zawód chirurga, moralność, prawo
 Jeszcze o kinach • Niepokój o teatry łódzkie • Piraci madame Wong
 Wiersze • Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosy



Nr 45 (407)
 13 XI. 1966 r.
 10 stron
 Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX



Fot. J. Łuńkow

JERZY URBANKIEWICZ

Jesiennie wędrowki

Pod ogrodzeniem kościoła na Starym Mieście stoi do dziś nagrobek jakiegoś Wyszynskiego, zmarłego półtora wieku temu. Do owej właśnie pory placyk otaczający ówczesny drewniany kościółek służył jako miejsce wiecznego spoczynku łódzkich rolników. Ale zaczęło być ciasno, bo narodu przybywało, gdyż właśnie zaczęto wytaczać Nowe Miasto, załóżek Łodzi przemysłowej. Założono więc nowy cmentarz przy retkińskiej drodze, rozciągający się — według naszych dzisiejszych wyobrażeń — pomiędzy ulicami Obróńców Stalingradu a Drewnowską, w tym miejscu, gdzie stoi kościółek św. Józefa. Cmentarz niewiele ważył w krajobrazie. Nieliczne drewniane krzyże ginęły w zaroślach, a chodzące po-

między nimi krowy bynajmniej nie sprzyjały nastrojowi owej szumiącej ciszy właściwej miejscu wiecznego spoczynku. Współcześni bołeli nad tym, że „ciała ludzkie pogrzebane na cmentarzach nie oparjanionych, wystawione są na zwiedzanie bydła i innych Zwierząt, wydobywających zwłoki pogrzebanych”. Ale zła nie od razu zaradzono.

Jeśli było spojrzeć za rzekę od strony Drewnowskiej, to bliżej ciągnęła się przestrzeń otwarta, zielona, w dolinie wierzb chyliły się nad wodą, dalej — poręba jesienią lilowa od wrzosów i las za krętą linią piaszczystej drogi, którą można było dojechać do Żabicy, czy Lutomińska.

A potem szybko to uległo zmianom. Wyrósł na porębie domy niemieckich kolonistów zasłoniły drogę, odsunęły w głąb las, z którego wzięły budulec, a że życie ludzkie było jednakowo kruche dla tych z tej strony rzeki, łódzkich włościan i z tamtej — przybyszów, to ledwie pierwsze wiechy zdjęto z nowych domów, ktoś umarł. Przyszli koloniści prosili, żeby choć jakiś kątek im wydzielić na cmentarzyku, bo przecież lepsza poświęcona ziemia choćby katolicka od nie poświęconej. Proboszcz wyrozumiał intencje, nie bardzo był rad, że trzeba będzie wieczność spędzić przy boku heretyka, ale się zgodził.

Potem, kiedy się miasto stało bogatsze, ten i ów z sąsiadów cmentarza podarował jakiś skrawek ziemi, albo umierając zapisał. Ale ludzie przyjeżdżali i rozdzielili się prędzej niż rozszerzały cmentarne granice. Warto tu przypomnieć, że pomimo — jak wtedy mówiono — „stabościów epidemicznych” ludność miasta powiększała się w ten

sposób, że jeżeli w roku 1820 liczyła około 800 dusz, to po ośmiu latach — pięć razy więcej, po osiemnastu — dziesięć razy więcej, a potem jeszcze szybciej. Natomiast staboście epidemiczne powodowały ścisną na cmentarzach tak wielką, że pod piaskiem stała trumna przy trumnie i nawet nie patrzono, kto jakiej wiary. I dopiero w roku 1858 miasto zakupiło „grunt żytnej klasy trzeciej” pod cmentarzem, które dziś nazywamy Starymi Tam nareszcie dokonano podziału i każde wyznanie uzyskało własne, odrębne wejście na tamten świat.

Kiedy zaczęto grzebać na Starych cmentarzach, ów cmentarzyk rozciągający się w okolicach ul. Ogrodowej poroził trawą, krzyże zniszczył czas, a sąsiedzi, byli to przeważnie potomkowie kolonistów niemieckich — ewangelicy, zaczęli przyłączać po kawałku do swoich posesji i wreszcie wybuchł spór o to, do kogo właściwie teren należy. Ewangelicy twierdzili, że ich ojcowie użyli po kawałku ziemi na czasowe użytkowanie, katolicy, że ks. Krygier wyjednał u sąsiadów zapisy i dlatego cały cmentarz jest własnością parafii katolickiej. Spór przybrał tak ostrą formę, że musiał go rozstrzygnąć sąd. Sądząc jednak z faktu przeniesienia tam kościoła św. Józefa, pretensje strony katolickiej zostały w znacznej mierze zaspokojone.

Wbrew pozorom wydzielenie Starych cmen-

KONRAD FREJDLICH

POMIĘDZY 133 a 134 południkiem

„Poznaję wszystkie pociągi po ich stukocie. Pociągi europejskie są na cztery taktę, kiedy azjatyckie na pięć albo siedem”.

Blaise Cendrars

W czasach Jerofieja Pawłowicza Chabarowa, którego pomnik ozdabia skwer przed restauracją dworcową w mieście, co wzięło nazwanie od jego imienia, nazywałoby się to całą wyprawą. Ale znamieniem epoki są ciężkie przeloty nad amurską plażą ogromnych turborakietowców TU-114, które w bezpośrednich, kilkugodzinnych rejsach łączą Moskwę z Chabarowskiem.

Wobec tamtych tysięcy niezauważalnie pokonywanych kilometrów przestrzeni, na Dalekim Wschodzie jeszcze 500 km nie uważa się za podróż. To akurat tyle, aby bez uprzedzenia zjawić się u znajomych dla wypicia szklanki gorącej herbaty i opowiedzenia kilku najświeższych dowcipów, po których jeszcze tego samego dnia wraca się beztrudno do domu.

Podróżnik, który na każdym kroku spotyka się z przysłowiowo słowiańską gościnnością gospodarzy, szybko uczy się tutejszych zwyczajów. Cały ekwipunek pozostawiam więc w centralnym hotelu dla obokrajowców na głównym placu Chabarowska i z aktówką tylko w ręce oraz notesem w kieszeni, zjawiam się na dworcu transsyberyjskiej kolei, skąd odchodzą pociągi na zachód — do Moskwy i na południe — do Władywostoku. Mój radziecki przyjaciel, pisarz Eugeniusz Naumow, który mi będzie towarzyszył w tej drodze, ze względu na panujące od tygodni upały nie zabrał nawet marynarki.

Stacją docelową pociągu jest Władywostok, my wszakże wybieramy się o wiele bliżej. Kola pojazdu niosą nas wzdłuż brzegów granicznej rzeki Wulsulijang, jak terytorium chińskie ukrytej za drzewami. Maszywo leśne, które przemijają za oknem, nie są jeszcze tajgą, z rzadka wgrzyły się w nie osady ludzkie: Karfowski, Perejasławka, Chor — zapamiętane przeze mnie stacje. Porzucając z trudem zdobyte w sleepingu miejsca przenosimy się do wagonu restauracyjnego, w którym nie wolno palić, ale można dostać chłodne piwo tajożnoje, nazwa właściwie nieprzetłumaczalna, przymiotnik od tajgi — i gdzie prowadzimy najpoważniejszą w świecie rozmowę o kleszczach. Tak właśnie, o tych pajęczakach z podgromady Arachnoidea, które od Oceanu Spokojnego po Ural niosą śmierć drwalom i myśliwym.

Pod wieczór pociąg wyrzuca nas na niski peron stacji Wiazemski, której serijny budynek dworca należy do nielicznych murowanych budowli w tej stronie ziemi, chociaż obok rozsiadło się miasto, o którym potem przeczytałem w rosyjskiej encyklopedii: „Położone w

Dalszy ciąg na str. 5

Dalszy ciąg na str. 4

Jesienna wędrowki

Dalszy ciąg ze str. 1



to redaktor i założyciel „Rozwoju”, rzecznik biblioteki publicznej w Łodzi. Porasta mchem nagrobny kamień Łapińskiego, krytyka teatralnego. Jest prezydent Cynarski, którego na Andrzeja pod czwartym przebił nóż Walaszczyka, i jest zastępca Cynarskiego, aptekarz Groszkowski... Znajdziesz tam Orlińskiego znakomitego aktora, który uczył dykcję — księżę mających kasnodziejskie ambicje. Jest pierwszy realizator kanalizacji łódzkiej — inż. Skrzywan.

Niektóre mogiły nie oparły się hitlerowskiemu wandalizmowi. Brakło po wojnie nazwiska adwokata Piotra Kona, znanego przez dziesiątki lat obrońcy więźniów politycznych. I kazali też Niemcy zniszczyć nagrobek zamordowanego w roku 1915 ks. Pruskiego.

Czy mówić jeszcze o polskim cmentarzyku na Chojnach, który miał ponizły zwłoki ludzkie za literę P znacząca je za życia? Czy mówić o cmentarzu radogoskim i o krzyku boleści, który obeliskiem wystąpił ku niebu spod zgłuszonych fabryk Abbego? Czy mówić o zbiorowych mogiłach na fabrycznym podwórzu?

Żydowski cmentarz na Dolach jest miejscem, w którym, jak w żadnym innym przemieszały się wspomnienia życia ludzkiego przepelnionego sukcesami — ze wspomnieniami największej nędzy i poniżenia człowieka.

Góruje nad wszystkim grobowiec Poznańskich, tak prawie wyniosły jak wieża ciśnienia. Prussak, chyba sya tego, któremu łódzcy ludydscy chcieli rozbijać maszyny, zajął obszar nieco mniejszy niż ród Poznańskich. Ale i nie był Prussak aż tak bogaty. A Izak Kalman Poznański leży z żoną pod wyniosłym kamiennym baldachimem, synowie zaś i dalsi krewni dookoła — pod gołym niebem. To w tym właśnie miejscu stanął kiedyś biedny żydowski krawiec z Brzezin i powiedział, patrząc na nagrobki: „Ci to dopiero żyją...”

Za ogrodzeniem z przepięknie ręcznie kutą żelazną kratą — małżonkowie Konstadt, Hermanowi Konstadt przyznała kiedyś Łódź tytuł honorowego obywatela. Nieco dalej wśliznęła się na ten cmentarz secesja w postaci uroczego pomnika z czerwonego piaskowca — głosi on pamięć Rappaportów. Obok zaplątał się kto? — Pejszak Pomeraniec! Nikomu nieznanym Pomeraniec. Czy blaszana tabliczka na długo zachowa pamięć o nim, obok tych marmurów, granitów i piaskowców? Heiman, dyrektor Wiedzewskiej Manufaktury, prawa ręka wielkiego Kona, Oskara Kona, który nie wrócił do Łodzi, lecz złożył kości gdzieś pod gorącym niebem Południowej Ameryki. Ale inna jeszcze mogiła każe go wspomnieć: Albert Kon, ukochany syn Oskara, ten sam, który zginął na Rokicińskiej od kuli fabrycznego majstra. Jest tu ich więcej takich: Silberstein, który padł z mściwej ręki robotnika w 1905 roku i Dobranicki, zabity przez robotnika Jabłońskiego. A oto Hubei,

właściciel cegielni z Rogowa. Był tak skąpy, że jadąc do miasta przysiadł się na beczki wiozące fekalia, bo darmo. A żonę jego, kiedy umarła, trzy razy wieziono na cmentarz i trzy razy odwołano do domu, bo nie chciał płacić za pogrzeb. Obok — „zginął śmiercią tragiczną” — napis, będący tytułem dla tej części opisu, która dotyczy lat wojny, Wajskopf, to ten, który miał stację nadawczą w getcie. Kiedy ją wykryto, rzucił się na Bibowa, komendanta getta, ale inny jakiś nieszcześnik ozdabiony dąwdowną gwiazdą przytrzymał Wajskopfa i Bibow zdążył strzelić. 84 kobiety ze Szutthofu. I dziewięć dołów pod cmentarnym murem przygotowanych w ostatniej chwili, ale się pijani Niemcy wygadali i niedoszłe ofiary rozbiegły się pod getcie, by doczekać zbawczego jutra. I cała kwatery pomordowanych. A w głównej alei miejsce, gdzie huczały strzały egzekucji.

Na obraz śmierci, jaki przedstawia sobą każdy cmentarz, tu się nałożył wyraźny obraz zbrodni, a na to — jeszcze jeden obraz, którego symbolem jest hiena mżukująca wśród trupów. Niektóre pomniki mówią śladami po ukradzionych literach, które były z metalu, więc komuś były potrzebne. Każdy cmentarz jest smutny — ten wyjątkowo smutny, bo pusty. A jeśli pokaże się samotny człowiek z wiązką kwiatów w ręku, to pogłębia jeszcze obraz opuszczenia i nie należy mu w oczy patrzeć, by nie wyczytać w nich strasznych przeżyć, które mu się — być może — z tą tu samotną wizytą kojarzą.

Więc jeszcze jeden spacer w boczną alejkę, gdzie leżą rodzice Tuwima.

- Jest na łódzkim cmentarzu
- Na cmentarzu żydowskim
- Grób polski mojej matki,
- Mojej matki żydowskiej

Gorąją znicze pod niskim listopadowym niebem. Noszą nazwę wiecznego ognia, ognia wiecznej pamięci. Jest smutek w odcieniu człowieka na zawsze. Jest smutek w zniczach, które migocą na mogiłach latami, dziesiątkami lat. Aż którejś jesienią nie zapłoną, bo ręka, która dawała im życie, która osłaniała je przed wiatrem — opadnie. Ale luna na nisko płynących nad miastem obłokach czerwieni się wciąż jednakowo, pisząc migotliwym blaskiem historię nie poszczególnych mogił, które niszczą się. Ale historię miasta, które staje się młodsze.

Miasto powinno chronić rozsypujące się w proch i porastające mchem kamienne strony swej historii.

JERZY URBANKIEWICZ

KRZYSZTOF POGORZELEC

DRZEWA umierają rosnąc...

Drzewo najlepiej służy człowiekowi, gdy ma sto lat. Człowiek, uzbrojony w siekiere i piłę zaczyna już atakować lasy 60—80-letnie.

Drzewa umierają rosnąc... Trudno wprost ocenić wszystkie straty jakie przynosi takie działanie człowieka w przyrodzie. Ktoś zadał sobie taki mozolny trud i ustalił, że tylko na przestrzeni ostatnich 200 lat ta ekspansja człowieka spowodowała doszczętne wymarcie więcej niż 120 gatunków ssaków i ponad 200 rodzajów ptaków. Niektóre, jeszcze nie tak dawno zupełnie pospolite gatunki zwierząt czy roślin, można już dziś spotkać wyłącznie w rezerwach lub ogradach zoologicznych.

Nie ma miejsca dla dzikich zwierząt. Kto ustrzeżł w Puszczy Białowieskiej ostatniego тура? Król, cesarz, marszałek, generał?

Zapomnijcie specjalistów: ilu tysięcy potrzeba, by bezpłodna owocka pokryła się żywnością, ledwie 25-cm warstwa urodzajnej gleby? Po ogromnych polach Stawów Zdzienowców bezkarnie hulają wiatry przyspieszające naturalne procesy erozji, zamieniające uprawne pola w bezużyteczne pustynie. Zreszta — po co sięgać tak daleko? Polscy naukowcy stwierdzili niedawno i — nie bez zdziwienia — pojawienie się na polach Wielkopolski przedstawicieli flory i fauny tpoowych dla... obszarów pustynnych! Wszystko to dzieje się w erze szczególnej ekspansji demograficznej człowieka. Obliczono już, że około roku 2000 będzie na tej — mimo wszystko — najlępszej z planet około 7,5 miliarda ludzi. Przynajmniej tyle samo więcej potrzeba będzie artykułów żywnościowych.

Wróćmy jednak do... lasu. Stamtąd wywodzi się wiele niezbędnych człowiekowi do normalnego życia produktów. Tutaj zaczyna się „łańcuch”: drewno—celuloza—papier. Ano właśnie: papier.

W każdej encyklopedii przy tym hasle znajdziecie mniej więcej takie wyjaśnienie: materiał w postaci cienkich arkuszy, otrzymywany ze spłisnionych surowców włóknistych z odpowiednimi dodatkami. Wyzwolenie w Chinach około roku 105 n.e. przez Tsai Luna. Po osmiu wiekach tajemniczo produkcyjny papier wydali Chińczykom Arabowie, a stąd już było blisko do Europy. W Polsce pierwszy młyn papierny uruchomiono w Pradniku k. Krakowa w roku 1491.

Tak rozpoczęła się wielka kariera papieru w naszym kraju. To prawda — uprzedzam sceptyków — że nie zaliczamy się jeszcze w tej dziedzinie do światowych potentatów. Ale może warto przytoczyć parę liczb dla lepszego zilustrowania procesów, które... bez papieru w ogóle „nie miałyby szans”. Choćby rozwój czystelnictwa, różnych form oświaty i działalności kulturalnej, pras, książek. Miały być jednak liczby — więc proszę...

Szwecja	— 145 kg
Holandia	— 100 kg
NRD	— 55 kg
CSRS	— 49 kg
Polska	— 25,9 kg

Dla jasności trzeba w tym miejscu dodać, że przed wojną ten sam wskaźnik ilości papieru przypadającej na statystyczną „osobę” obywatela naszego kraju wynosił równo 7 (słownie — siedem) kilogramów.

Wszędzie trwała wysiłki nad rozwojem przemysłu papiernego. Nie dysponujemy największymi danymi, lecz i to zestawienie mówi o rozmiarach zjawiska: w roku 1950 na świecie wyprodukowano 28,3 mln ton, w pięć lat później już 37,2 mln ton.

A teraz Polska: 0,36 i 0,40 mln ton. Cena papieru na światowych rynkach nieustannie rośnie. Czynimy, oczywiście, starania, by bez dalszego naruszania — nie wahał się użyć tego pojęcia — równowagi w naturze poprawić naszą lokatę w światowym wyścigu po... papierową koronę. Zamierzamy m. in. wydać w ciągu bieżącej pięcioletki na modernizację krajowego przemysłu celulozowo-papierniczego ok. 7 miliardów złotych. Dodajmy, że w całym minionym 20-leciu przeznaczaliśmy na ten cel niespełna 10 miliardów złotych. Ale nie chodził przecież tylko o maszyny. Może nawet — przede wszystkim — chodziło o mechanizm.

Obliczono, że z naszych lasów wydesta można dodatkowo nie więcej jak ok. 2 mln metrów sześciennych drewna. NIE WIECEJ. I — TO JEST ZA MAŁO. Równocześnie — jak utrzymują leśnicy — chyba także... za wiele.

Więc? Słoma. Specjaliści stwierdzili: z pocziwej słomy można zrobić doskonałą celulozę, a więc i papier. Podjęto u nas odpowiednie kroki i niebawem we Włocławku ruszył pierwszy „słomiany” oddział. Pech jednak chciał, że na ten właśnie czas przypadł w naszym rolnictwie rok chudy na słomę i — na tej podstawie — interesujący projekt budowy dalszych „słomianych oddziałów” w celulozowniach w Szczecinie i — bodaj we Włocławku wzięł w łeb. Czy aby słusznie?

Makulatura. Z nią jest trochę inaczej. Był to okres makulaturowego deficytu, później — nie bardzo wiadomo było co zrobić z papierowym złomem. Prawde mówiąc, to i teraz jest on dość kłopotliwym surowcem. Bo — nie mamy odpowiednich sortowni, brakuje ludzi do sortowania. I — świetny surowiec marnujemy na wyrób najlichszych gatunków papieru. Z oczywiście szkoda.

Także dla drzew, które ciągle umierają rosnąc.

Kto, co, kiedy?

relacje niedyskrecje



ARTUR RUBINSTEIN O SOBIE

Artur Rubinstein (ur. 1886) wydaje nareszcie swe pamiętniki. Od lat oczekiwano ich ukazania się, ale dopiero teraz pierwszy tom jest przygotowywany do druku.

pamiętnikiem. Od tego momentu upłynęło sporo czasu. Pamiętnik doprowadzony jest do osiemnastego roku życia.

NARESZCIE ZAPŁACONY RACHUNEK ZA APOLLINAIRE'A

W roku 1899 dziesięcioletni wówczas Guillaume Apollinaire uciekł z hotelu w Stavelot w Belgii nie uregulowawszy rachunku za pobyt.

tensje te przejął, dziś już osiemdziesięcioletni, Jean Constant, syn właścicieli hotelu.

Pieniądze te zostały zebrane. Pierwszym ofiarodawcą był mieszkający w Stavelot konserwator jedynego na świecie muzeum Apollinaire'a.

ZYCIE SEURATA

Henri Perruchot, który napisał monografię o tak słynnych malarzach jak Van Gogh, Cézanne, Toulouse-Lautrec, Manet, Gauguin, Renoir wydał ostatnio książkę o życiu i twórczości Georges Seurata.

300 KOBIET GUY DE MAUPASSANTA

Jedenaście lat pracy badawczej strawił Armand Lanoux na wyszukanie m. in 300 kobiet w życiu francuskiego pisarza Guy de Maupassanta.

dotychczasowe biografie pisarza, ale „bardziej prozaicznie” w Fécamp. Nie był też, jak o tym kraźliwie pogłoski, synem Gustawa Flauberta.

ZATAJEMNICZONY ZBIÓR KSIĄZEK W BRITISH MUSEUM

British Museum założone zostało w Londynie w roku 1753. Posiada bogaty, jeden z największych na świecie zbiorów muzealnych i ogromną bibliotekę.

MEBLE XXI WIEKU?

„Rzeźba jest zazwyczaj nieużyteczna, meble często są jak nudne” - stwierdził Francois-Xavier Lalanne i wraz z swą żoną postanowili zmienić ten stan rzeczy.

FILM O TYM, KTÓRY RZUCIŁ BOMBĘ NA HIROSZIMĘ

Reżyser radziecki Mikołaj Winogradowski, nakreśla film o dramatycznym życiu majora Eatherly, który rzucił pierwszą bombę atomową na Hiroszimą.

MIESZKANIE DOSTOJEWSKIEGO BĘDZIE MUZEUM

Mieszkanie w którym niedługo Fiodor M. do dotrzymania terminu ty wieczór, na który przybudowy, nie ma zaś prawie żadnych wadliwych, co partyjnych i administracyj do tego, że kwoty preliminarzowe do przerobu na br. twa oraz licznym mieszkan-

Dostojewski (1821-1881) żył i pisał w 1880 roku powieść „Bracia Karamazow” zostanie w Leningradzie przekształcone na muzeum.

SAINT-EXUPERY BOHATEREM SZTUKI SCENICZNEJ W MOSKWIE

W bieżącym sezonie teatralnym wystawiona ma być w Moskwie m. in. sztuka Leonida Maljugina o życiu francuskiego pisarza i pilota Saint-Exupéry'ego.

ROK SZOSTAKOWICZA

Przyszły rok muzyczny w Związku Radzieckim będzie poświęcony jednemu z największych kompozytorów współczesnych, Szostakowiczowi.

ZMARŁA LILIAN SMITH

W wieku lat 68 zmarła amerykańska powieściopisarka Lilian Smith. Jej powieść pt. „Strange fruit” stała się sensacją literacką w Stanach Zjednoczonych w roku 1944.

RADIOGRAFIA W SŁUŻBIE SZTUKI

Z okazji Biennale Antykwarium w Paryżu zaproponowano specjalistom badanie przedmiotów sztuki przy pomocy radiografii.

CASUS WITKIEWICZ

Pod tytułem „Der Fall Witkiewiczy” wydawnictwo monachijskie „Piper-Verlag” wydało książeczkę, poświęconą twórcy „Nienasycenia” i „Pożegnania Jesieni”.

KSIAZKI NIEMIECKIE W POLSCE

Jest to niepełny polonistyczny katalog Inter Nationes (Bonni), niemieckiej instytucji użyteczności publicznej dla krzewienia stosunków kulturalnych z zagranicą.

ADOLF FIERLA W POLSCE

Znany i płodny w okresie międzywojennym poeta i prozaik Adolf Fierla, od 26 lat przebywający na emigracji w Londynie, spędził ostatnio kilka tygodni w swym kraju rodzinnym.

O IWASZKIEWICZU

W hamburskim dwutygodniku „Die Welt der Literatur” (z 27 października br.) ukazała się recenzja o tomie opowiadań Jarosława Iwaszkiewicza, który pt. „Heydenreich/Mephistowalzer” ukazał się w przekładzie Klausa Staemmlera w NRF.

RADIOWA WYKONAWCZOŚĆ

Pod tytułem „Der Fall Witkiewiczy” wydawnictwo monachijskie „Piper-Verlag” wydało książeczkę, poświęconą twórcy „Nienasycenia” i „Pożegnania Jesieni”.

KSIAZKI NIEMIECKIE W POLSCE

Jest to niepełny polonistyczny katalog Inter Nationes (Bonni), niemieckiej instytucji użyteczności publicznej dla krzewienia stosunków kulturalnych z zagranicą.

Notatnik KULTURALNY NIEDZIELA Charakter niedzielnego wypoczynku, wraz ze zmianą na porę roku, zmienił się diametralnie. Latem uciekało się dla ochłody z domu na powietrze, dziś chłód znaleźć można całym latem w domu.

Kolejarzy Łódź - Kaliska, MPK z Łodzi i „Boruty” ze Zgierza. WTOREK Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków Ministerstwa Kultury i Sztuki, na prośbę Wydz. Kultury Prez. RN m. Łodzi, rozpatrzył sprawę 5 zachowanych tablic z dawnego pomnika Kosciuszki.

no na głębokości 2,5 metra na jeszcze jedną podstawkę niewiadomego pochodzenia. Dyrekcja teatru zataiła ten fakt obawiając się, że zainteresowanie archeologów może przedłużyć remont.

Niepokój o teatry ŁÓDZKIE

Od kilku lat niepokoju nie ma w teatrze łódzkim. Drugie miasto w Polsce, wielki ośrodek robotniczy i coraz poważniejszą skupiskiem naukowym, gdzie rozwija się przecież bogate życie intelektualne, popadło od pewnego czasu w chroniczny stan kryzysu teatralnego. Pozostaje to, oczywiście w związku z odejściem do Warszawy Kazimierza Dejmki i przeniesieniem się do stolicy całej grupy utalentowanych aktorów. Ale znamy podobne migracje teatralne z końca lat czterdziestych i pięćdziesiątych, że zarówno Łódź (skąd przeszedł się do Warszawy teatr Axera i poważną część Teatru Wojska Polskiego pod wodzą Leona Schillera), jak i Kraków (skąd wyjechał do Warszawy Bronisław Dąbrowski z grupą 12 czołowych aktorów) podziwili się po tym upuszczeniu krwi już po niedługim czasie nadrobili braki, ustanęli łuki, stanęli znowu w czołowie teatru polskiego. Tym bardziej zastanawiająca i niepokojąca jest obecna, trwająca już kilka lat i nie zapowiadająca, na razie, poprawy sytuacja teatrów łódzkich.

Był czas, kiedy na premiery do Teatru Nowego przyjeżdżała najwybitniejsza krytyka warszawska, pisarze, kierownicy na szczeblu polityki kulturalnej. Był to magnes, który musiał przyciągać każdego, kto interesował się rozwojem polskiego teatru. Inscenizacje Dejmki stały się tematem ożywionych dyskusji na łamach prasy ogólnopolskiej, miały swych gorących zwolenników i równie zaciekłych przeciwników, stały w centrum zainteresowania opinii publicznej kraju. Wystarczy wymienić takie przedstawienia, jak „Luzin”, „Święto Winklerbada”, czy „Ciemność kryja ziemię”, by uprzytomnić sobie, czym była Łódź teatralna w tych czasach. Dodajmy do tych tytułów sukcesy w dziedzinie inscenizacji dramatu staropolskiego, takie jak „Żywot Józefa”, „Historie o Chwałebnym Zmarływystawianiu Pańskim”, a zrozumimy łatwo, że nie można sobie wyobrazić historii powojennego teatru polskiego bez twórczego wkładu sceny łódzkiej. Teatr Nowy był, oczywiście, największą atrakcją życia teatralnego tego miasta. Ale znana jest rzecz, że wybitne osiągnięcia artystyczne jednego teatru ciągną za sobą inne, wpływają na wzrost ambicji artystycznych w całym mieście, podnoszą jego poziom. I można powiedzieć, że Teatr Powszechny dał w tym okresie sporo żywych, ciekawych przedstawień (zarówno za czasów dyrektora Józefa Chojnackiego, jak i pod kierownictwem Romana Sykały). Do walki o artystyczny prymat w Łodzi stanął też Teatr im. Jaracza, kontynuując piękne tradycje z czasów Leona Schillera, grupując wybitnych aktorów, pracując sprawnie pod dyktando Feliksa Żukowskiego.

Kryzys rozpoczął się od czasu odejścia dyr. Dejmki i dotknął w największym stopniu Teatr Nowy. Nie chcieliśmy krzywdzić następców dyr. Dejmki, wybitnych aktorów Teatru Nowego, ale wydaje mi się, że właśnie po nim nie wolno było powierzać dyktando tego teatru nikomu, kto nie dawał przynajmniej w części rekola, który potrafi kontynuować jego linię repertuarową i styl teatralny lub przeciwstawić mu po prostu własny. Musiał to więc być chybiony reżyser, mający już w teatrze coś do powiedzenia, mający własny program i własny charakter pisma. Niestety, tak się nie stało, i jeśli nawet pojawił się od czasu do czasu w Teatrze Nowym dobry przedstawiciel (jak np. „Życie Galileusza” w inscenizacji Tadeusza Mince), to jest ono tylko sporadycznym wydarzeniem, a nie czołowym lożem skomponowanego repertuaru, układającego się w żywą, interesującą całość ideowo-artystyczną.

Przeglądam plan repertuarowy Teatru Nowego na nowy sezon. Jest tam kilka wartościowych pozycji i każda z nich ma swoje uzasadnienie w pracy poważnego teatru. Jest „Sen srebrny Salomei”, trudny, ale pasjonujący dramat Słowackiego. Jest poetycka sztuka Szaniawskiego „Kowal, pieniądze i gwiazdy”, jest wybitna sztuka Pietera Weissa „Meczetństwo i śmierć Marata” i „Happy end”, dowcipna komedia muzyczna Dorothy Lane, powstała przy współpracy Brechta. Nawet trochę już przestarzała sztuka klasyczna duńskiej literatury, Holberga pt. „Blacharz burmistrzem” ma swoje walory. Teatr Nowy prezentuje dzieła, które nie tylko wzbudziły w Polsce dramatycznie sympatycznych Duńczyków. Jest też kilka wartościowych pozycji w planach Małej Sceny. Na pewno ambitnym zamierzeniem jest wystawienie „Sonaty Bełzebuba” Witkacego, czy też „Kartofelki” Różwiczki. Bardzo dobre wyniki może przynieść próba zagrania rzadko wystawianej sztuki Gorkiego „Dziwacy”. Bardziej konwencjonalną pozycją (przeznaczoną zapewne dla młodzieży szkolnej) są „Słuby panielskie”, ale za to niedługo go zwolennicy teatru poetyckiego ucielesnią zapowiedź wystawienia „Przerwy w podróży” Karpowicza. Tylko, że w tym całym planie nie ma logiki, ani konsekwencji, nie widać w nim ani określonego programu ideowo-artystycznego, ani indywidualności twórcy, który by narzucił teatrowi swoje widzenie świata i sztuki, swoją koncepcję teatru.

Siła Dejmki jako prezentowania nowych sztuk, nie znanych jeszcze polskiemu widzowi, podejmowanie spraw ostrych i spornych, nadawanie im oryginalnego i związane ściśle z zadaniami ideowymi kształtu scenicznego, i tego właśnie brak planowi Teatru Nowego w sezonie, który rozpoczął się we wrześniu. Gdybyśmy zastąpili dyrektora tego teatru, jaki jest cel ideowo-artystyczny takiego teatru, wątpliwe czy mógłby na to pytanie odpowiedzieć. Bo przecież każda praca z zapowiedzianych sztuk idzie w inną stronę, zarówno pod względem swego treści, jak i formy artystycznej. „Kowal, pieniądze i gwiazdy” nie da się pokazać z „Happy endem”, a „Meczetństwo i śmierć Marata” z początkową sztuką Holberga. Witkacy nie rymuje się z Gorkim, a „Słuby panielskie” nie bardzo idą w parze z Karpowiczem. Najwięcej konsekwencji wykazuje zestawienie „Sonaty Bełzebuba” z „Kartofelkami”, ale nie wiem także, czy pokazanie tych dwóch sztuk w jednym sezonie i tuż obok siebie nie jest wrzuceniem dwóch grzybów w

barzoż. Oczywiście, wiem, że można odeprzeć te zarzuty twierdzeniem, iż teatr może być eklektyczny (niektórzy nawet twierdzą, że powinien taki być), że wystarczy, jeżeli poradnie zagra wartościowe sztuki, pisane w różnych konwencjach artystycznych, o bardzo nierównej wadze ideowej i artystycznej. Ale takie twierdzenie, słuszne wobec starszego teatru w mniejszym stopniu, gdzie działa tylko jedna scena, która musi zaspokoić bardzo różne potrzeby widzów, nie może być uzasadnione wobec teatru o tak wielkiej tradycji, działającego w drugim mieście polskim, dysponującym w dodatku kilkoma teatrami.

A co się dzieje w tych innych teatrach? Bardzo mocnym zespołem aktorskim dysponuje obecnie Teatr im. Jaracza. Są tam przecież takie dwa tytuły, jak Krzysztof Chamiec i Jerzy Przybyski, znani również dobrze poza rogatkami Łodzi. Tu propozycje są natomiast konsekwentniejsze. „Namiestnik” Hochhutna i „Książę Patiomkin” Micińskiego, jak również adaptacja „Przedwieśnia” Zeromskiego należą do gatunku teatru politycznego, który wzbudza obecnie w całym świecie tak wielkie zainteresowanie, mogą stać się punktem wyjścia dla stworzenia doskonałego widowiska, które może liczyć na szeroki oddźwięk wśród łódzkiej publiczności. Tylko, że będą to powtórzenia inscenizacji warszawskich i nie wiem, czy dyrekcja Teatru im. Jaracza znajdzie odpowiednich reżyserów i aktorów, którzy mogliby przeciwstawić warszawskim przedstawieniom takie wersje tych sztuk, jakie usadniająby ich w świecie, na warsztat nie w celu powtórzenia cudzej koncepcji, lecz opracowania własnej i lepszej. Ciekawą propozycją jest zapowiedź premiery nowej sztuki łódzkiego pisarza Władysława Orłowskiego pt. „Platy lot”. Tu rzeczywiście pojawia się w planach Teatru im. Jaracza nowa, nie znana dotąd ze sceny sztuka. Nie można też nie zarzucić planom tego teatru w dziedzinie klasyki. Zarówno „Lilla Weneda”, jak i „Lato” Rittnera są utworami pełnowartościowymi i komponują się dobrze z całym repertuarem tej sceny. Ale ten, kto by szukał wśród zapowiedzianych premier ambitnego odkrycia, czy rewolucji artystycznej, obawiam się, że ich nie znajdzie. Oczywiście, prorokowanie na podstawie samych zapowiedzi repertuarowych jest czymś w rodzaju wróżenia z fusów. Inscenizacja znanej sztuki może przynieść mniej niespodzianek (choć to się stało np. w ubiegłym sezonie w Teatrze im. Jaracza dzięki przedstawieniu „Kaukaskiego koła kredowego” w reżyserii Józefa Grzegorzewskiego), ale na pierwszy rzut oka nie takiej rewolucji nie zapowiada i ślad mój niepokoju. Nawet tak ciekawe pozycje, jak „Podporucznik Kłose” wg opowiadania Tyntianowa, czy sceniczna adaptacja świętego repertuaru Johna Reeda „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem” zniechęcają się tylko w rezerwie.

A jak jest z Teatrem Powszechnym? Tu kibolców jest najmniej. Teatr ten nie miał nigdy wielkich aspiracji intelektualnych. Wypracował sobie model sceny popularnej o charakterze rozrywkowym, stał się prawdziwym teatrem ludowym, bardzo lubianym przez łódzką publiczność. Treba przyznać, że wyskoczył w zeszłym sezonie ponad swoje możliwości dając przedstawienie „Tanga” Mrożka, ale zrobił to już niejako z własnej pilności, a nie z obowiązku. Natomiast „My fair lady”, zgrabnie wystawiona, dobrze zagrana i śpiewana, była bardzo atrakcyjna i trafnie wybrana pozycja, utrzymana całkowicie w stylu tej sceny. Nieporozumienia zaczynają

się wtedy, kiedy Teatr Powszechny pragnie spełniać zadania, wyznaczone raczej innym teatrem łódzkim. I tak w nowym sezonie planuje dyr. Sykała wystawienie „Wesela”. Czy to jest słuszne? Nie wiem. Trudno z góry przewidzieć wyniki tej ryzykownej imprezy. Nie można, oczywiście, nikomu zabronić grania jednego z największych dzieł naszej narodowej literatury. Ale świadcząc o to pewnym pomieszczeniu pojeź, jeśli Teatr Nowy gra „Happy end”, a Teatr Powszechny — „Wesele”. Nie budzi u dyr. Sykały żadnych wątpliwości sztuka Teda Willisa o wspólnym przedmiocie „Moone uderzenie”, ani dowcipna komedia Jaroslawa Abramowa „Derby w pałacu”. Jej miejsce jest właśnie w Teatrze Powszechnym. Słusznie też signał teatr Sykały po „Poletku Pana Boga” Caldwell, choć trudno coś konkretniejszego powiedzieć o wartości samej adaptacji. Sam pomysł jednak wydaje mi się trafny, jak również materiał, z którego można wykreślić ciekawy spektakl. Nie wątpię, że powodzeniem może cieszyć się także komedia muzyczna Hacksa i Asriela pt. „Polity”, napisana przez wybitnie utalentowanego czołowego dramaturga NRD na podstawie dalszego ciągu „Opary zebrać” Gajali. Jest to więc jakby kontynuacja „Opary za 3 grosze”. W zupełności inne regiony przenosi nas pomysł wystawienia „Berezjaków”, jako wielkiego widowiska politycznego. Teatr ludowy zna i takie przedstawienia, a sam Roman Sykała inscenizował przed kilkoma laty pamiętniki Barbary Sołwińskiej. Ale jest to już sprawa znacznie trudniejsza i ryzykowniejsza, choć intencje można tylko pochwalać. Natomiast znacznie bardziej wątpliwa jest próba wystawienia nowej sztuki Dürrenmatta pt. „Metoor”. Tu ambicje są bardzo duże, natomiast tym względem można mówić tylko o tym, że pomysł jest szacunkiem, że czy siłą nie mierzoną na zamiary? Na to pytanie może odpowiedzieć tylko samo przedstawienie.

Dużo rodzynek jest w tym łódzkim koszyku. Wiele pożytych godnych uwagi i zainteresowania. Skąd więc ten niepokoju? Chyba stąd, że pragnąc się widzieć teatry łódzkie w czołowie całego kraju, stawia się im wiec najwyższe wymagania. A jeśli przyłożymy taką miarę do ich planów, za mało w nich odkrywczych pozycji, za mało ambicji podejmowania najcięższych problemów naszego czasu, za mało sztuk, które dopięto na ich scenach przyżyły swój chrząst, bojęmy, pierwszą konfrontację z wymagającą łódzką i ogólnopolską opinią publiczną. Warto się nad tym zastanowić, jak wyjść z tego impasu. Może wzmocnić kierownictwo literackie łódzkich teatrów, by czytały starannie nową sztukę literatury polskiej i obcej, może wzmocnić obsadę reżyserką, może powierzyć kierownictwo któregoś z teatrów inscenizatorowi, który miałby swą własną wizję teatru, jak miał ją przed laty Kazimierz Dejmka? Nie wiem. Nie jestem lekarzem. Ustawiam tylko postawić diagnozę...

Od redakcji: Artykułem znanego krytyka teatralnego, Romana Szydłowskiego, rozpoczynamy dyskusję nad sprawami repertuarowymi teatrów łódzkich. W następnych numerach „Odgłosów” ukazać się dalsze wypowiedzi na ten temat m. in. Wandy Karczewskiej, Stanisława Kaszyńskiego, Władysława Orłowskiego i Wojciecha Natanson.



Czyż się swobodnie przed kamerami, mówić poprawnie i płynnie, a w mowieniu wyrażać jakiś myślny lub obrazowy sens przedstawić nie jest łatwe. Nabył często obcej, nieporadnością, z drętą mową, „Trema telewizyjna” jest inna, nie trema zebrałowa czy raczej trema zebrałowa czy raczej trema zebrałowa... (The text continues with a critique of television performance, mentioning various actors and the challenges of being on camera.)

uwagę i troskliwość. Dotychczasowa sytuacja nazbyt często prowokuje do rozmałego autorkom docinków i uszczypliwości. Sprawa jest w ogóle doniosła. Nie umiemy mówić, jesteśmy zbyt bezkrytyczni wobec zasobu słów, namiętnych wobec życia codziennego, przez żargon środowiskowy. Przez o tym, aczkolwiek sam nie jestem człowiekiem bezgrzesznym, całej szczerze, że nie reprezentuję żadnej instytucji, żadnego urzędu.

Tydzień teatralny niezym szczególnym nie wyróżniał się, otrzymaliśmy dwa przedstawienia, które były rozrywką. Adaptacja powieści Balzaka, dokonana przez poetę M. Bordo-wicza, przeniosła nas do Paryża, w środowisko malarzy, artystów i rzemieślników. Wyszła z tego prawie komedia w reżyserii B. Trukana. Zwrócili na siebie uwagę Cz. Roszkowski jako „marchand” Magus, E. Karwicz jako malarz Bidau. Grupa mieszczańska pochodziła raczej z farsy, aktorzy szarżowali według dostatecznie użytego schematu. Myślę, że lepsza byłaby niejaka wstrzemięźliwość.

Wbrew niektórym pozorom, żręca sztuka Jerzego Jesionowskiego „Za tych, co w górze” (tytuł zapożyczony), przyzwolę podaną przez Gdańsk, można odnieść do kategorii sensacyjno-rozrywkowych, gdyż zasadniczo wszystko mieściło się w jej warstwie fabularnej, aforyzmy nie odznaczały się odkrywczością, rzecz znowu dotycząca techniki i zmiany stosunków w cywilizacji technicznej nie idących w parze ze zmianami w sferze moralności i ułomności ludzkiej.

Hibernacja — „uspłnienie połączone z ochłodzeniem organizmu, powstrzymującym procesy biologiczne” — nie jest nowym motywem, od skoro wspominaliśmy o literaturze radiotelewizyjnej, wystarczy powołać się na Majakowskiego.

Skromna ale właściwa inscenizacja dobrze służyła rozegraniu konfliktów, aktorzy: Halina Słojewska, Jerzy Kizicki i Lech Skolimowski w pełni wywiązali się z powierzonego im zadania.

Marzenia ekipy pojawiły się międzyplanetarnej o dobrej jakości, niecyfrowej, bywało także marzeniami naszymi, ziemian, bywałców zakładów gastronomicznych. Wszystkie w porządku. „Jaloustic”, audycja z cyklu „Listy śpiewające” Agnieszki Osieckiej, odznaczała się tym razem zwartą konstrukcją, sympatycznym humorem. W dodatku autorka była o krok od powiedzenia w lekkim sposób istotnej prawdy o współczesnych sprawach: nie mamy dla siebie czasu, jesteśmy rozstrzępieni, mijamy się nie zauważając się, wjemy, interesujemy się ludźmi pozornie (bo niekoniecznie o miłość chodzi), skończyły się jednak na frustracji kobiety niezbyt właściwie nie zajętej i na praktycznej radzie Cyganki, przyjemnie zaśpiewanej.

„Listy” mają szczęście do wykonawców.

Swoją drogą, mistrzowi Galicyzmu udało się potomu, gdy to jego patronatowi należało przypisać zarówno „Kabarę Starszych Panów”, jak i „Listy śpiewające”. Czasem jednak chciałoby się czegoś bardziej gryzącego i dotkliwego, satyrę realistycznej, przemawiającej bezpośrednio, powiedzmy satyrę spod znaku Tuwima albo Słonimskiego.

Tak czy inaczej właśnie w TV sprawy języka z wielu względów zasługują na szczególną

Jan Huszar

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Słaczka w wydaniu współczesnym — tak najkrócej można by określić idee filmu Janusza Weycherta „CIERPKIE GŁOGI”. Nomen omen — smak tego dzieła faktycznie jest nader cierpki. Jest to dramat obyczajowy, który ma ambicje podejmowania problematyki przemian zachodzących obecnie w społecznościach wiejskich. Wieloletnie doświadczenia kinematografii w ogóle, nie tylko naszej, ucza, iż jest to jeden z najtrudniejszych tematów filmowych. Polamano sobie na nim zeby wielu dobrych twórców. Wiem po prostu rzadko wychodzi na ekranie. W literaturze wystarczy na dobrą sprawę odrobina stylizacji gwarowej i nieobciążanie bohaterów umysłowością skłonna do zbyt zawiłych kombinacji intelektualnych oraz osadzenie akcji w środowisku wiejskim, żeby „uznać” książkę za obraz toczącego się tam życia i przejść nad tym do porządku dziennego, za-stanawiając się dalej nad artystycznymi tylko walorami takiej pozycji przy pominięciu jej „wiejskości”. W filmie wygląda to trochę inaczej. Jeśli temat ujęty jest realistycznie, to problem „wiejskości” bez przerwy musi być obecny, wysuwa się na każdym kroku. Widz bowiem konfrontuje ciągle to, co pokazuje obraz filmowy z tym, co sam ogląda bądź

ogłądał w życiu. W pole jego uwagi wchodzi tysiące szczegółów, które w literackim opisie mogą być w ogóle pominięte. Rzeczywistość wiejska nie jest w filmie słowna abstrakcja, której konkretyzacja następuje dopiero w umyśle czytelnika — rzeczywistość ta przybiera od razu materialny kształt obrazu filmowego, który czeka tylko na sprawdzenie przez widza. Jaki jest wynik takiego sprawdzenia „Cierpkich głogów”?

Film Weycherta ukazuje wyłącznie grono nauczycielskie małej wiejskiej szkoły oraz uczącą się tam młodzież, zajmując się dokładniej parą dzieciaków: wrażliwą i bardzo zdolną Alinką — córką jedynego chłopskiego atelista, która wbrew ojcu marzy o tym, by zostać zakonnicą i Józkiem — te-pym, bezmysłnym leniem, którego przejście z klasy do klasy załatwia ojciec przy pomocy gotówki, a nawet metod zastraszania. Przedstawicielem starszej generacji chłopskiej są więc jedynie obaj ojcowie i to w niewielkich fragmentach ukazujących ich kontakt z gronem pedagogicznym szkoły. W ten sposób powstaje paradoksalna sytuacja: akcja toczy się o prawdę w wiejskim pejzażu, ale nie ukazując, nie jest w stanie ukazać prawdy o zamieszkujących ten pejzaż ludziach. „Cierpkie głogi” obrwały dro-

gę ławizn. Kamera ani razu nie weszła do wiejskiego domu, nie ukazała dzieci w środowisku rodzinnym, w codziennej pracy pozaszkolnej. Znacznym próbiej było tworcom filmować miejscową stadnię. Wychowani na tradycyjnym malarstwie doceniamy piękność tych zwierząt, ale stosuje się wobec nas chwyt niedozwolony: za dużo tych koni, a za mało ludzkich problemów. Czyżby estetyzm nie zdołał zamydląc oczu widzowi. Nie ratuje sytuacji nawet wiejska zabawa, która zdecydowanie się nam pokazała. Jaka tam ona wiejska! Szczepanik zawodzi swoim mizernym głosem piosenkę o miłości, o dziewczynie, której imię ma Cierpkich głogów smak, a kamera bez przerwy towarzyszy pani nauczycielce i dziennikarce, który przyjechał, by zebrać trochę materiałów do reportażu nad osad panu magistrowi, który wrócił niedawno do wsi i wólcie się bez przerwy z panią nauczycielką wyglądając to na natręta, to na ucieleśnienie ludzkiego fatum. Wszystko jednak wyjaśnia się w końcu. Pan magister będzie uczniem po-calował panią nauczycielkę publicznie i namiętnie, że co został wyrzucony ze szkoły. Skończył więc studia, by mówić z damą swego serca jak równy z równym. Wrócił właśnie do wsi, aby jej wszystko wytłumaczyć. Ona — jak

się okazuje — również ma do niego słabość, wszystkie kończy się więc happy-endem: zły, przekupny kierownik zostaje wydalony ze szkoły, a jego miejsce zajmuje właśnie pan magister. Alinka nie idzie do zakonu, ale za to zostaje męczennicą. Okrutne chłopaki z Józkiem na czele pastwią się nad nią srodze przywiązując ją do żelaznych prętów na podobieństwo ukrzyżowania oraz obcinając jej włosy na Joannę d'Arc. Alinka wpadnie w kołcho do dołu, skąd wydostanie ją wszechobecny pan magister, pojedzie do szpitala, ale dzięki temu uda się pani nauczycielce oddać ją do szkół w Krakowie.

Barbara Krafftówna nie zdołała utra-tować „Cierpkich głogów”. Zbyt sęcho matyczna, zbyt mało ludzka postać musiała odtworzyć. Pozornie psychologicznej głębi próbowała zatuszować stylem gry pamiętym tak dobrze z „Jak być kochaną”. To powielenie wielkiej roli nie wypadło najszczęśliwiej. W efekcie nie udało się Weychertowi ani dramat obyczajowy, ani dramat psychologiczny. Jego „Głogi” faktycznie cierpki mają smak. Zabrakło im dojrzałości.

MARIAREL



Dziesięć tysięcy funtów oferuje portugalska policja w Macao za jedną jedyną fotografię. Dziesięć tysięcy funtów, to mniej więcej 28 tysięcy dolarów. Cóż to za zdjęcie przedstawia dla policji taką wartość?

Sprawę wyjaśnia warunek, jakim obwarowana jest ta nagroda. Otóż ma to być wyraźne zdjęcie niejkiej madame Wong, zrobione w ostatnim czasie. Kto by jednak w jakikolwiek sposób — że tak powiemy — żywcem dostarczył madame, może sam określić wysokość lub rodzaj nagrody, a władze japońskie, taiwańskie, filipińskie, syjamskie i Hongkongu uczynią co w ich mocy, by to życzenie spełnić.

Zarówno jedna, jak i druga nagroda datuje się z roku 1951. I trzeba powiedzieć, że niejednego już nęciła ich wysokość. Wszystkie wysiłki jednakże ciągle nie przynosiły pieniędzy a za to zawsze — śmierć.

Policja portugalska — jak zresztą i pozostałe we wschodniej Azji — poszukuje bezustannie madame Wong i nie szczędzi środków, by ją dostać w swe ręce. Madame Wong jest bowiem wszechwładnym szefem piratów działających w tych stronach świata.

Na wodach między Oceanem Spokojnym a Oceanem Indyjskim piractwo kwitnie od ponad stu lat. Jedynie podczas drugiej wojny światowej, kiedy transportowce przemierzały morza w konwoju okrętów wojennych, groziła mu całkowita zagłada, tym bardziej, że japońskie jednostki marynarki wojennej mordowały całą załogę każdego stateczku, jeśli tylko istniał cień podejrzenia, iż może to być statek piracki.

I mimo to, jednemu z piratów udało się nie tylko przeżyć, ale i poważnie rozszerzyć interes w latach wojny. Był nim niejaki Wong Kung-ki, były urzędnik administracji Czang Kai-szeka. Nikt nie zdołał ustrzelić, kiedy i w jaki sposób Wong doszedł do kapitału początkowego, ale pewne jest, że rozporządzał

już bająca suma, gdy w roku 1940 pożegnał służbę państwową u Czang Kai-szeka. Jego najwierniejszym pomocnikiem była własna żona Szan, przed ślubem tancerka w jednym z nocnych lokali Kantonu, kobieta o pociągającej urodzie.

Owczesny okres nie należał bynajmniej do najbardziej sprzyjających dla pirackiej działalności, toteż Wong poradził sobie inaczej — zaczął się trudnić paserstwem na wielką skalę, szantażem, szpiegostwem, a także zabójstwami na zamówienie.

Po wojnie nastąpiło z miejscy znaczne ożywienie żeglugi, jednakże na wodach Dalekiego Wschodu ciągle jeszcze przebywały liczne jednostki marynarki wojennej USA, Francji, Anglii czy Portugalii, gdyż szybko okazało się, że pozbawione eskorty statki handlowe często gościściły na siebie zainteresowane piratów. W tych warunkach, musieli się więc oni zadawać bezbronnymi działkami.

Było to w grudniu 1946 roku, kiedy Wong otrzymał wiadomość, że zauważono trzy ciężko załadowane dżonki, szybko zbliżające się do Hongkongu. Natychmiast dał rozkaz wypłynięcia. Na pokładzie trzech dużych łodzi motorowych piraci zbliżyli się do dżonek i wówczas to Wong po raz ostatni w swym życiu dał się wciągnąć w pułapkę. Załogę dżonek stanowiącymi bowiem plechota morską, znająca niezłe swoje rzemiosło. Po dwudziestominutowej walce, w wyniku której odniósł kilka ran, Wong uznał sprawę za przegrana — jedną z motorówek udało mu się dotrzeć do brzozy, gdzie jednak dostał się w ręce partyzantów, którzy go potem przekazali policji w Macao. Dwa dni później podał próbę ucieczki, lecz został śmiertelnie trafiony i wyzionął ducha w kanale ściekowym.

Jego śmierć stanowiła podówczas nie lada sensację. Szy prowie odciekł z prawdziwą ulgą, w nadziei, że oto nadszedł kres piractwa. Tymczasem najśmielsze akcje dopiero miały nastąpić.

Kilka dni po śmierci Wonga poczęły krążyć pierwsze pogłoski o tym, że madame Wong przejęła spuściznę po mężu. Jednakże dwaj najbliżsi szefowie band Wonga, bynajmniej nie zamierzali dzielić z nią władzy, uważając siebie samych za jedynych następców szefa. Aby nadać swym aspiracjom właściwe znaczenie, odwiedzili madame Wong i zażądali od niej bezwarunkowego wycofania się z interesu. Ponieważ niewiasta obu po prostu zastrzelili, nikt już nie odważył się występować wobec niej z podobnymi sprawami.

Jej główna kwatery znajduje się na niedużych wysepkach w pobliżu Hongkongu. Stąd też kieruje swym pirackim gangiem. Rozszerzył się

on coraz bardziej, gdyż pani Wong nie ograniczała się tylko do napadów na pełnym morzu — obrabowywała także statki znajdujące się już w porcie, a nawet zagarniała wartościowe ładunki wprost z portowych magazynów. W czasach zaś, kiedy zabrakło podobnych okazji, wysyłała swe statki nocą na otwarte morze i wyciągała na powierzchni rezerwy kable podwodne łączące Hongkong z Singaporem. Uzyskana w ten sposób miedź i stal wędrowały potem na czarny rynek.

Pierwszą wielką operacją na morzu, którą madame Wong dowodziła osobiście, był napad na holenderski statek „Van Hentz”. Gdy tylko parowiec opuścił port w Kantonie, udała się w ślad za nim siedmioma dżonkami i trzymała kurs za nim, aż do zapadnięcia ciemności. Z pokładu swego stateczku obserwowała następnie przez 15 godzin przeładunek towarów na pirackie jednostki. Pasażerów i załogę „holendra” rozkazała zgromadzić w mesie i zabrać im pieniądze i wszelkie wartościowe przedmioty.

Po tym napadzie, rzadko już brała osobisty udział w akcjach, jeśli się jednak na to decydowała, potrafiła pokazać, do czego jest zdolna.

Oto pewnego marcowego dnia roku 1951 jej dwa statki — w tym czasie dysponowała już zrabowanymi japońskimi łodziami torpedowymi — zatrzymały portugalski człotyśięcownik „Oporto” płynący w kierunku Macao. Cała załoga stateczki w sile 22 ludzi zginęła od kul piratów, z wyjątkiem jednego marynarza, który — choć ciężko ranny — przetrzymał w morzu kilkanaście godzin, nim go wyłowili portugalski ścigacz łodzi torpedowych. Wprawdzie ranny zmarł po paru dniach, ale przedstawiony przezeń opis pani Wong i jej mała już dla celów kryminalistycznych przdatna fotografia z roku 1939 — są jedynym źródłem wskazującym na zewnętrzny wygląd madame Wong.

Już w r. 1951 nie było najmniejszej wątpliwości, że dowodzi ona całością pirackich band, z których jedne podporządkowały się jej dobrowolnie, inne zaś zostały do tego zmuszone. Mówi się, że jej dziełem był wówczas napad na brytyjski frachtowiec „Mellory” (5.000 ton). Gdy statek ten znajdował się na drodze z Fukien, przed dziobem pojawiła się nagle dżonka. Aby uniknąć zderzenia, kapitan kazał zatrzymać maszynę. Dżonka podbiła do burty, statek i wówczas 25 ludzi, uzbrojonych w nowocześnie broń maszynową, błyskawicznie wdrapało się na jego pokład, po czym równie szybko przeladowało na dżonkę najwartościowsze towary.

W sierpniu r. 1951 biuro amerykańskiego armatora otrzymało takie oto pismo: „Wasz

frachtowiec, który ma wypłynąć 25 sierpnia, będzie obrabowany. Przełożenie terminu na nic się nie zda. Jego bezpieczeństwo możecie sobie zapewnić, wpłacając 20.000 tutejszych dolarów”. Dalej następowały wskazówki, w jaki sposób i gdzie wpłacić pieniądze.

Armator angielski zapłacił tę sumę nie tylko dlatego, że brytyjska flota wojenna była związana działaniami wojennymi w Korei, ale i dlatego, że uważał to za najlepszą wyjście z sytuacji. Policja morską Hongkongu oceniła ogólnie uzyskane w ten sposób dochody pirackie na 150 mln. miejscowych dolarów. Lwia część tego łupu stała się osobistym udziałem pani Wong. W tym też czasie jej piraci zrabowali łódź patrolową amerykańskiej floty wojennej, wysłaną po to, by szukała pirackich stateczków.

W czerwcu 1962 r. wiceprezydent Filipin, Emanuel Pelaez, urządził w swej luksusowej wili na przedmieściu Manili uroczyste przyjęcie. Wśród jego dwustu gości znajdowała się także madame Senkaku, zwracająca powszechną uwagę bogatym strojem, nade wszystko jednak — wysokimi stawkami w grze w karty przy jednym ze stołów. Wiceprezydentowi zaimponowało opanowanie, z jakim kobieta szafowała pieniędzmi, toteż zażartował w pewnej chwili. — Madame, pani gra tak zdecydowanie i tak wysoko że można by pomyśleć, iż ma się do czynienia z madame Wong. — Bo właśnie nią jestem — brzmiała spokojna odpowiedź. — Senkaku to tylko mój pseudonim...

Obecni uśmiechnęli się w przejmie, ale po tygodniu wiceprezydent otrzymał list z Macao: „Dziękuję panu za miłe spędzony wieczór, Wong Senkaku”. Zaalarmowano Interpol, która wszczęła dochodzenie, jednakże nie dało ono rezultatu — świadkowie zbyt różnili się w opisach kobiety.

Od tego czasu snuje się różne przypuszczenia, w jaki sposób ta kobieta potrafiła się tak doskonale ukrywać. Najwięcej zwolenników ma wersja, według której madame Wong gra rolę żony jednego ze swych współników, gdyż samotna kobieta o tak wielkiej fortunie, musiałaby ścinać na siebie uwagę.

Podzielone są także zdania o sile jej bandy piratów. Anglicy uważają, że liczy ona 3 tysiące ludzi. Portugalczyk zaś, że 8 tysięcy i daleko więcej informatorów. Japończyk z kolei oblicza jej flotę na 150 stateczków i łodzi. Właśnie Japończykom omal nie udało się w r. 1963 uzyskać cennej informacji, gdy jeden z członków bandy zgłosił chęć spotkania się z prezydentem policji Kobe. Zastano go nawet na umówionym miejscu, ale cóż — z odcieptymi rekoma i wyrwanym językiem...

Z cyklu: portrety



Rys. Wacław Kondek

PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIĄGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *



Lewym okiem

KRASULA W OKNIE

Doprawdy nie wiem, co sądzić o tym wszystkim. Wchodzę do jednego z największych w Łodzi sklepów obuwicznych, prowadzonego przez starego i dobrego fachowca, który całe życie obracał butami. Pytam sprzedawczynię o półbuty na transparentach. Transparent to taki rodzaj gumy podszewkowej, która dawniej była przezroczysta i stąd nazwa, oznaczająca właśnie przezroczystość. Teraz guma jest trochę inna, a nazwa została. — Nie ma! — odpowiada krótko sprzedawczyni.

— A w ogóle jakieś na podszewce nieskórzaney?

— Podaje mi piękną parę na... transparentach. Za duża i czarna, szukam brązowej. To w stoisku obok. W stoisku obok podają mi brązowe.

— Ale to jest poligum, a nie transparent. —

Zakleń poligum, zwyciężaj twórczo! — obraża się następna sprzedawczyni. Obie pracują tutaj po kilka lat.

W sklepie warzywno-owocowym można — kupując jabłka — pokazać palcem: te proszę. Takich pięknych słów jak kaka, szetyna, pepina, grochówka — nie słyszeli tutaj jak żyją. Nie wiedzą, które na kompot, z których najlepsze wino, które „do jedzenia”, a które znów „mogą leżeć”. Z trudem odróżniają: te czerwone, czy tamte podłużne?

Panią sprzedającą damskie bluzki wpada w panikę na pytanie, jak się te bluzki pierze. Akurat jest w dobrym humorze, okazuje nawet dużo dobrej woli, szuka, grzebie: tu powinien być przepis... Ma tych bluzek pięć czy sześć rodzajów, to widocznie za dużo, żeby o każdym z nich coś umieć na pamięć, na wyrywki. Oczywiście, niech już lepiej szuka i grzebie, niż miałaby zdecydowanym tonem poradzić: tylko we wrzasku z octem i suszyć w piekarniku, a następnie wyciąć większe plamy i resztę prasować pod włos.

Eleganckie panie, znane mi od dawna przez wielkie szyby wystawowe kwaziarni w śródmieściu, nie mogą się zdecydować, czy pewien kaktus nazywa się krasula czy krasula. Na wszelki wypadek piszą: krasula, i stoi ta biedna krasula na samym froncie, za marnie pięćdziesiąt złotych: jak ją pielęgnować? Owszem, powiedzą. Tylko lepiej się do tego nie stosować, lepiej zapytać znajomych, albo w ostateczności kupić odpowiedni podręcznik.

Podobał mi się materiał na koszulę, zerówka. Nigdy nie zajmowałem się szyciem koszul. Py-

tam więc. He tego trzeba kupić, żeby wystarczyć na całąś z obydwojma rękawami. Poradzili. W punkcie usługowym wzięli miarę. — Tu musimy nadać, bo się zbiegnie. Naddali. Zamiast koszuli mam kaftan bezpieczeństwa, z rękawami dłuższymi o pół metra od rąk, a oprócz tego zostało jeszcze zerówka na kaftanik dla młodszego brata. — A co, wolalbyś parę, żeby była z mała? — oburzał się krojczy z punktu usługowego. Wolalby, żeby była akurat, skoro już decyduję się na szycie miarowe, i płacę rachunek, obejmujący kilkanaście potyczki: mierzenie, gotowanie, przymiarka, domiarka, krojenie, szycie, prasowanie, materiał, dorzut, narzut i wręczenie.

I nie wiem co o tym myśleć. Cała Polska się uczy. Istnieje tysiąc kursów, każdy zawód ma odpowiednie szkoły na poziomie zasadniczym i średnim, co rusz każda instytucja organizuje konferencje, doszkalanie, przeszkalanie, ludziska jeżdżą w tym celu do Polanicy, Spały, Sopotu, Głowna, dostają dyplomy, świadectwa, zaświadczenia i WCALE TEGO NIE WIDAC! Nikogo nie obchodzi własna praca i kwalifikacje, te najprawdziwsze, sprawdzalne na co dzień, nie dekoracyjna wiedza o tym, że planowanie perspektywiczne należy oprzeć na metodzie przepływów międzygałęziowych. Owszem, planowanie to ważna rzecz. Ale, miła pani, niechże pani zacznie od fachowego sprzedawania butów, jabłek, bluzek i kaktusów! Inaczej nadal każdy z nas musi odkrywać cały świat na nowo, i nigdy mu się to nie uda, i nic z tego nie wyjdzie prócz nadeptanej bałamutnej, marnotrawczej improwizacji.

CWIEK